

Maciora czy macocha: postkolonialne dylematy Flanna O'Briena

Czytelnikom niniejszego eseju, których nie zniechęcił już sam jego tytuł, należy się z pewnością kilka słów wyjaśnienia. Otóż „maciora” i „macocha” to pojęcia odwołujące się do tradycji literackiej, kultury i historii Irlandii. Pierwsze ma szczególny związek z twórczością Jamesa Joyce’a. To właśnie jego powieściowy *alter ego*, Stefan Dedalus, porównuje swoją ojczyznę, Irlandię, do maciory, która pożera własne młode.¹ Z kolei określenie „macocha” w kontekście narodowo-ojczyźnianym odnosi się do sytuacji politycznej w Irlandii zarówno przed rokiem 1921, w którym Zielona Wyspa odzyskała częściową niepodległość, jak i później, kiedy to pod względem gospodarczym jak i społeczno-kulturowym nadal pozostawała pod silnym wpływem Wielkiej Brytanii. Wschodnia sąsiadka była przez długi czas macochą Irlandii również w sensie językowym; dla mieszkańców Zielonej Wyspy język angielski zawsze miał i pewnie jeszcze długo mieć będzie charakter mowy macoszej, przybranej, a więc nie do końca własnej. Podstawowym dylematem, z którym zmagał się swego czasu Flann O’Brien,² bohater niniejszego eseju, jest zatem tylko pozornie prosty wybór między lojalnością wobec rodzimej kultury i języka, a quasi-universalizmem kulturowym i swobodą wypowiedzi artystycznej, jaką umożliwił mu język angielski. Dylemat, o którym tutaj mowa, do dzisiaj znajduje odzwierciedlenie także w podziale administracyjno-politycznym wyspy na część zwaną Republiką Irlandii (stanowiącą odrębne państwo) oraz Irlandię Północną pozostającą pod protektoratem brytyjskim.

Podział ten, wyraźnie widoczny na współczesnych mapach politycznych, sięga swoimi korzeniami siedemnastego wieku, kiedy to do z dawien dawna katolickiej Irlandii przybyli osadnicy brytyjscy wyznania protestanckiego. U podłoża istniejącego po dzień dzisiejszy konfliktu legła jednak nie tylko religia, ale przede wszystkim uprzywilejowany status przybyszy. Od króla Anglii protestanci otrzymali wówczas na wyłączność prawo posiadania ziemi, co miało decydujący wpływ na ukształtowanie się struktur własnościowych i podziałów społecznych, skazując katolików na przyjęcie roli obywateli drugiej kategorii. Dlatego też przedstawiciele tzw. „ascendancy”, protestanckiej klasy wyższej, byli zawsze postrzegani przez irlandzkich katolików jako piąta kolumna monarchii angielskiej, w naturalny i zrozumiały sposób opowiadająca się za jak najsilniejszymi więzami politycznymi i administracyjnymi z koroną brytyjską. Nie inaczej sytuacja wyglądała na początku dwudziestego wieku. Tuż po odzyskaniu przez Irlandię częściowej niepodległości doszli do głosu skrajnie nastawieni republikanie, którzy nie dość, że domagali się pełnego uniezależnienia swojego kraju od wschodniego sąsiada,

to byli także wrogo usposobieni do protestanckich rojalistów. Dlatego też proces kształtowania się państwa irlandzkiego po 1921 roku, to w dużej mierze historia kompromisów i na nowo wybuchających waśni narodowościowych, gestów pojednania oraz jątrzących się ran i zadrażeń na tle religijnym i kulturowym. Z tego wszystkiego niewątpliwie należy zdać sobie sprawę, by należycie zrozumieć sens i oddźwięk twórczości literackiej i publicystycznej Flanna O'Briena, na której chciałbym się tutaj skupić.

Nim przyjrzymy jej się bliżej, chciałbym pokrótce uzasadnić szczególne zainteresowanie tym właśnie autorem, a także krytyczną perspektywę, którą wykorzystuję w celu zobrazowania stosunku O'Briena do kwestii języka, tożsamości narodowej oraz do tego wszystkiego, co składało się na specyficznie irlandzki inter- ale także intrakulturowy *agon*.³ Otóż w taki właśnie *agon* jest uwikłane pisarstwo O'Briena jako twórczość postkolonialna w najszerszym tego słowa znaczeniu. Z całą pewnością sytuację w Irlandii po 1921 roku można określić poprzez pewien uniwersalny „paradygmat postkolonialny”: zaledwie odzyskawszy niepodległość (niepełną co prawda, bo południowa część Zielonej Wyspy stała się niezależną od korony brytyjskiej republiką dopiero w 1949 r.), Irlandia zmagala się z wieloma problemami typowymi dla państw młodych, a także takich, które niedawno przechodziły szeroko zakrojone transformacje ustrojowe. Trzeba było budować od podstaw większość instytucji, zmienić system rekrutacji urzędników państwowych, naprawić krzywdy, jakie protestancka mniejszość wyrządzała przez całe stulecia katolickiej większości, przywrócić należny status językowi irlandzkiemu, zdefiniować od nowa rolę państwa irlandzkiego na arenie międzynarodowej oraz zorganizować według własnych, nieimportowanych wzorców spójny model życia społeczno-gospodarczego. Co warto podkreślić, niemal wszystkie te kwestie znajdują swoje odzwierciedlenie w prozie O'Briena. Jednak najważniejszą i najcenniejszą jej cechą jest postawa pisarza, który w trudnym okresie polaryzacji politycznych poglądów zachowuje, wbrew obiegu opinii o humorystycznym wydźwięku jego prozy, poważny i umiarkowany dystans, zdobywając się na chłodną, a czasem nawet boleśnie krytyczną diagnozę otaczającej go rzeczywistości. Satyryczny i kpiarski ton jego utworów maskuje głęboką zadumę nad stanem kultury, wykształceniem oraz poziomem świadomości społecznej Irlandczyków; powieści i felietony prasowe O'Briena to karykatura wszystkiego tego, co było mu bliskie i niemiłe zarazem. Pod tym względem całą jego twórczość można określić jako próbę otrząśnięcia się z szoku postkolonialnego, próbę przezwyciężenia – przez ośmieszenie – wielu dolegliwości wieku dorastania do pełnej samodzielności społeczno-kulturowej.

Wiele wspomnianych przeze mnie kwestii oscyluje wokół podstawowego dylematu, jakim był dla O'Briena wybór medium językowego dla swojej twórczości literackiej i publicystyki. Był to wybór uwikłany w rozmaite, nierzadko historycznie i politycznie pogmatwane i niejednoznaczne konteksty. Z jednej strony irlandzki to dla O'Briena mowa-relikt, język, który nie przystaje do współczesności. W pierwszym z cyklu felietonów pisanych dla „The Irish Times” i opublikowa-

nych w czasie II wojny światowej O'Brien pół żartem, pół serio dowodził, że język jego przodków nadaje się jedynie do rozmowy o jedzeniu i picciu, bo brakuje w nim słów i pojęć mogących oddać całą złożoność wojennej rzeczywistości.⁴ Tak więc paradoksalnie angielski, choć to język niedawnego okupanta, stanowił zdaniem O'Briena jedyną możliwą płaszczyznę porozumienia z rodakami. Pisanie po irlandzku było próbą wskrzeszenia dawno martwego języka (którą O'Brien podjął świadom jej beznadziejności) – próbą z artystycznego punktu widzenia niemal samobójczą. Z drugiej strony język angielski niósł ze sobą konieczność dokonywania przekładu kulturowego, stanowił dla Irlandczyka palimpsest ojczystej mowy – był mową macoszą. Uwikłanie w ten literacko-polityczny paradoks nadaje prozie O'Briena swoisty rys, który esej niniejszy zamierza wyeksponować poprzez analizę powieści *An Béal Bocht* oraz felietonów prasowych publikowanych na łamach „The Irish Times”.

Brian O'Nolan (później znany jako Flann O'Brien) urodził się 5 października 1911 r. w Strabane, północnoirlandzkim miasteczku tuż przy obecnej granicy z Republiką Irlandii. Wychowywał się w rodzinie o żywych tradycjach katolickich i narodowościowych; w domu mówiono tylko po irlandzku, więc O'Nolan do szóstego roku życia miał kontakt wyłącznie z tym językiem. Rodzice nie chcieli, by dzieci uczyły się angielskiego, dlatego nie posyłali ich do żadnej z okolicznych szkół, a najbliższa placówka z wykładowym językiem irlandzkim mieściła się zbyt daleko od ich miejsca zamieszkania. Dystans i izolacja od reszty społeczeństwa (szczególnie jego anglojęzycznej części) towarzyszyły O'Nolanowi już od dzieciństwa i być może były jedną z przyczyn nieśmiałości u dorosłego pisarza, nieśmiałości, z którą najczęściej walczył przy pomocy alkoholu. Nim do tego doszło rodzina O'Nolanów przeprowadziła się do Dublina, gdzie ojciec Briana, Michael O'Nolan, po części w uznaniu jego zasług dla krzewienia ojczystego języka, którego uczył jako ochotnik przed utworzeniem Wolnego Państwa Irlandzkiego, otrzymał awans i został komisarzem odpowiedzialnym za ściąganie podatków. Jego najzdolniejszy syn, już wtedy płynnie władający angielszczyzną, wkrótce rozpoczął studia na University College Dublin, jednym z dwóch najbardziej prestiżowych uniwersytetów dublińskich.

Studenckie lata to dla O'Briena okres pierwszych prób literackich i udanych wystąpień publicznych na forum akademickiego Towarzystwa Literacko-Historycznego. To również okres częstych wizyt w miejscowych pubach, gdzie przyszły pisarz i felietonista „The Irish Times” rozsmakował się w whisky, Guinnessie oraz grze w bilard. Studia ukończył bez większych problemów, choć jak sam twierdził, nigdy się do nich nie przykładał, ani też nie traktował swojej edukacji zbyt poważnie.⁵ Przydała mu się ona już wkrótce, bowiem stanął do konkursu o posadę urzędnika w administracji państwowej (*civil service*). O dwa wolne etaty ubiegało się wówczas kilkaset innych osób. Jednym z poważniejszych atutów O'Nolana była bardzo dobra znajomość języka irlandzkiego, który w 1922 r. został wprowadzony jako przedmiot obowiązkowy do wszystkich szkół na wyspie. Również od urzędników państwowych wymagano biegłej znajomości ojczystej

mowy, choć rzadko posługiwano się nią przy formalnych okazjach. Jak pisze biograf O’Nolana, Anthony Cronin, politycy mieli w zwyczaju rozpoczynać każde wystąpienie od dwóch zdań łamanym irlandzkim, po czym przechodzili na angielski, usprawiedliwiając ten manewr formułą „z myślą o tych wszystkich, którzy nie znają naszego języka, będę kontynuował po angielsku”.⁶ Wśród takich ludzi przyszło wkrótce pracować Brianowi O’Nolanowi; na bezpośrednim zapleczu polityki przez duże „p” spędził 18 lat, piastując rozmaite stanowiska w strukturze *civil service* i bacznie śledząc poczynania wielu irlandzkich mężów stanu.

Równoległe pisał i to początkowo z dużym powodzeniem. Jego pierwsza książka, *At Swim-Two-Birds*, choć nie była szlagierem wydawniczym, zyskała bardzo przychylnie opinie krytyków. Chwalił ją Graham Greene, a James Joyce szczególnie docenił poczucie humoru O’Nolana, co stanowiło w ustach mistrza niebagatelny komplement. Jednak drugą swoją powieścią Irlandczyk nie zdołał zainteresować żadnego wydawcy, w związku z czym przeleżała w rękopisie kilkadziesiąt lat i została opublikowana dopiero po śmierci autora. Co gorsza, to niepowodzenie zniechęciło go na dłuższy czas do pisania po angielsku. W 1940 roku przyjął propozycję dziennika „The Irish Times” i zaczął regularnie pisywać felietony satyryczne pod pseudonimem Myles na gCopaleen (dosł. Myles od koników). Również na początku lat czterdziestych ubiegłego stulecia napisał pierwszą i jedyną w swojej karierze powieść po irlandzku zatytułowaną *An Béal Bocht*, czyli *Uboogie usta*. Została ona przetłumaczona na język angielski dopiero w 1973 r. w siedem lat po jego śmierci. Jednak właśnie w latach czterdziestych, w okresie kiedy została wydana i udostępniona tym wszystkim, którzy byli w stanie ją przeczytać – a spośród osób zainteresowanych taką literaturą niewiele tak naprawdę władało sprawnie swą ojczystą mową – powieść O’Nolana odegrała bardzo istotną rolę. Przyniosła tak potrzebne otrzeźwienie po początkowym zachłyśnięciu się odzyskaną wolnością i, po ustąpieniu oburzenia wywołanego satyrycznym ujęciem tematu uznawanego za wyjątkowo drażliwy i delikatny, pozwoliła zastanowić się głębiej nad postawą Irlandczyków wobec własnej tradycji, korzeni i języka. Wróć jeszcze do tych wątków w dalszej części tego eseju, teraz jednak chciałbym omówić formę działalności literackiej przynoszącą O’Nolanowi najwięcej popularności wśród jego rodaków, czyli felietony dla „The Irish Times”.

Współpraca O’Nolana z tym dziennikiem to temat, w którym skupia się jak w soczewce cała złożoność sytuacji społeczno-kulturowej Irlandii lat dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych ubiegłego stulecia. Biorąc pod uwagę pochodzenie O’Nolana, jego wyznanie, zaangażowanie całej rodziny w działalność na rzecz odzyskania niepodległości i zachowania tożsamości narodowej i językowej, trudno wyobrazić sobie mniej prawdopodobną koneksję. Wszak „The Irish Times” był od samego początku trybuną dla protestanckiej mniejszości, dziennikiem dla zamożnej i wykształconej klasy średniej o poglądach rojalistycznych, miejskiej inteligencji ciężającej ideologicznie ku bardziej rozwiniętym krajom europejskim, a więc z gruntu kosmopolitycznej.⁷ O’Nolan, decydując się na współpracę z tym dziennikiem, musiał mieć świadomość dwuznaczności swojej sytu-

acji; co więcej, musiał też zdawać sobie sprawę z tego, na jakich odbiorców może liczyć publikując felietony akurat w „The Irish Times”. W oczach wielu irlandzkich katolików, wciąż żywo pamiętających dni walki o suwerenność, a także wojnę domową, która doprowadziła do spustoszenia kraju po 1921 roku (a, nawiasem mówiąc, także do ograbienia i niejednokrotnie wymordowania dawnych protestanckich panów i wielmożów), gazeta ta stanowiła siedlisko wszelkiego zła, a jej lektura groziła nawet utratą jedynie słusznej wiary.⁸ A jednak młody, niedoświadczony jeszcze pisarz o katolickiej proweniencji, jakim był w 1940 roku Brian O’Nolan, zdecydował się na wiele lat związać swój publiczny wizerunek właśnie z „The Irish Times”. I nie ma tu większego znaczenia fakt, że publikował swoje felietony pod pseudonimem. Nie robił tego zresztą z obawy przed kompromitacją towarzyską. Tak po prostu stanowił wymóg pracy w administracji państwowej – funkcjonariuszom *civil service* nie wolno było publikować pod własnym nazwiskiem niczego, co można by odczytać jako politycznie bądź społecznie zaangażowane.

Co zatem skłoniło O’Nolana do przywdziania maski gazetowego trefnisia na łamach „The Irish Times”? Najprościej i najkrócej można by odpowiedzieć, że był to Robert Smyllie. Redaktor naczelny „The Irish Times” od 1934 r., kiedy to przejął schedę po Johnie Healym, miał decydujący wpływ na zmianę kształtu i profilu dziennika. W drugiej połowie trzeciej dekady dwudziestego wieku i na początku lat czterdziestych gazeta, by przetrwać, musiała przyciągnąć szerszy krąg odbiorców. Stąd stopniowa zmiana tonu politycznego, złagodzenie stanowiska i ugodowa postawa wobec republikanów, próba dotarcia do najbardziej wpływowych i opiniotwórczych środowisk irlandzkich, w tym także artystycznych. W pewnym momencie doszło do tego, że „The Irish Times” był, jak pisze Cronin, jedyną gazetą codzienną dla szanującego się intelektualisty.⁹ Dwa inne dzienniki ukazujące się w Dublinie, „The Irish Independent” i „The Irish Press”, cechował albo katolicki triumfalizm w najgorszym wydaniu, albo tani populizm i szowinizm, z jakim walczyli co bardziej oświeceni mieszkańcy Zielonej Wyspy. W czasie, gdy O’Nolan współpracował z „The Irish Times”, gazetę tę czytała większość funkcjonariuszy administracji państwowej, politycy, artyści – praktycznie wszyscy, którym droga była przynajmniej minimalna doza niezależności intelektualnej i ideologicznej. Propozycja współpracy, jaką Smyllie skierował do O’Nolana, była wynikiem świadomej i długoterminowej strategii zblizniania ran i szukania narodowej ugody. Redaktor naczelny „The Irish Times”, podobnie jak i większość czytelników gazety, miał dosyć sceptyczny stosunek nie tyle do języka irlandzkiego, co do obłudy i hipokryzji, która towarzyszyła upowszechnianiu go „na siłę”, między innymi poprzez uznanie go za obowiązkowy przedmiot w szkole. Mimo to zdecydował się wprowadzić do każdego numeru stały felieton po irlandzku, by pokazać, że jego dziennik jest również gotów włączyć się w szeroko zakrojony program „ożywiania” ojczystego języka.

Działania Smylliego zbiegły się w czasie z rosnącym zainteresowaniem językiem irlandzkim ze strony O’Nolana. Jeżeli można cokolwiek powiedzieć na te-

mat poglądów pisarza na podstawie felietonów, w których jego *alter ego*, Myles na gCopaleen, często wyraża swoje opinie w sposób celowo karykaturalny, to jedno jest pewne – O’Nolan wierzył, że język jego przodków to prawdziwa skarbnica tradycji i ludowej mądrości, a także wartościowy środek przekazu literackiego.¹⁰ A jednak pomimo wstępnych ustaleń, wedle których felietony O’Nolana miały ukazywać się trzy razy w tygodniu i być pisane wyłącznie po irlandzku, wkrótce ich autor zaczął wprowadzać coraz dłuższe wstawki po angielsku, aż wreszcie z czasem język ten całkowicie zdominował jego prasowe wypowiedzi. Nie wynikało to bynajmniej ze słabnącego zainteresowania ojczystą mową. O’Nolan zdawał sobie po prostu sprawę z bezcelowości pisania po irlandzku w kontekście, który miał niewiele wspólnego z krzewieniem języka przodków. Jego felietony nosiły wyraźny rys satyryczny; stanowiły niejednokrotnie zjadliwy i szyderczy komentarz do bieżących wydarzeń społeczno-politycznych. Ci, którzy byli w stanie docenić ostrze satyry O’Nolana, nie chcieli jednocześnie zmagać się ze słabo im znaną składnią i leksyką. Innymi słowy wkrótce okazało się, że wartość jego felietonów leży nie w wykorzystaniu ojczystego języka jako środka przekazu, ale w trafności obserwacji i ciętej ironii, którą podszyte były niemal wszystkie bez wyjątku teksty.

Rezygnacja z pisania po irlandzku oznaczała także jednoznaczne opowiedzenie się po stronie tych wszystkich, którzy mieli krytyczny stosunek do tradycjonalizmu, wsteczności, bigoterii, szowinizmu, zacieklego nacjonalizmu oraz obskurantyzmu. Wbrew pozorom nie był to wcale wybór łatwy i oczywisty. Wszystkie wymienione tutaj cechy stanowiły na tyle powszechny rys tzw. przeciętnego Irlandczyka, że opowiedzenie się przeciwko nim graniczyło z postawą antynarodową. W języku angielskim każda z typowo irlandzkich przywar jest określana jako „Paddyism” – od tradycyjnego i wręcz przysłowiowego imienia irlandzkiego „Paddy” (zdrobienie od Patricka, świętego patrona Irlandii). Myles na gCopaleen, wybierając postawę konfrontacyjną wobec Zwyczajnych Irlandczyków (*The Plain People of Ireland* – fikcyjny bohater zbiorowy wielu jego felietonów), jawił się swoim czytelnikom i krytykom jako „Paddywhacker” – satyryczny bicz na przeciętnego Paddy’ego.¹¹

Cóż takiego smagał ze szczególną zajadłością w swoich tekstach? Na przykład cykl felietonów poświęcony używanym książkom wystawiał na pośmiewisko wielkopańskie pretensje irlandzkich dorobkiewiczów, którzy nierzadko ledwie umieli czytać. Myles wyjaśniał w jednym z pierwszych felietonów tego cyklu, że inspiracji dostarczył mu znajomy, który wydając fortunę na nowy dom i jego umeblowanie, nie zapomniał też o bibliotece. Wyposażył ją okazale: na każdym regale kazał umieścić rząd nowiutkich książek, często bardzo cennych i rzadkich tak, by świadczyły o szerokich horyzontach i dobrym guście właściciela. Popęłił jednak pewien błąd, który Myles podjął się naprawić. Zapomniał mianowicie, że książka dobrze świadczy o właścicielu, jeżeli nosi ślady wnikliwej i najlepiej wielokrotnej lektury. Rozwiązanie, które zaproponował w swoich felietonach Myles, było banalnie proste. Postanowił mianowicie zorganizować z myślą

o wszystkich chętnych (a nie brakowało wówczas w Irlandii takich ludzi) specjalny punkt usługowy, zajmujący się „używaniem” książek (*handling books*). Wykwalifikowane kadry „używaczy” miały zagwarantować odpowiedni wygląd powierzonych woluminów w zależności od wysokości wniesionej opłaty. Za odpowiednio wysoką stawkę można było spodziewać się usługi najwyższej jakości, określanej przez Mylesa francuskim, a więc w domyśle snobistycznym mianem „Le Traitement Superbe”. Oto jak wyglądał opis takiej usługi:

Każdy tom będzie porządnie i uczciwie „używany”, najpierw przez wykwalifikowanego „używacza”, a następnie przez mistrza fachu, który legitymuje się co najmniej 550 godzinami pracy w zawodzie. Odpowiednie fragmenty z nie mniej niż połowy wszystkich książek zostaną podkreślone dobrej jakości czerwonym atramentem, a na marginesach zostaną umieszczone stosowne zwroty i wyrażenia z poniżej podanej listy:

Bzdura!

O tak, to prawda!

W rzeczy samej, w rzeczy samej!

W żadnym wypadku!

Dlaczego?

Tak, ale zob. Homer, *Od.*, iii, 151.

No, no, no.

Zgoda, ale już Boussuet w swoim dziele *Discours sur l’Histoire Universelle* doszedł do takiego wniosku i uzasadnił go w sposób daleko bardziej przekonujący.

Ależ skąd!

Słuszna uwaga!

Ależ *dlaczego*, na miłość boską?

Pamiętam, jak biedny Joyce zwracał się do mnie tymi samymi słowami.

Nie trzeba chyba dodawać, że w każdej chwili można otrzymać specjalny cytat ze zbioru Specjalnych i Ekskluzywnych Zwrotów i Wyrażeń. Dodatkowa opłata jest tak niewielka, że nie warto nawet o niej wspominać.¹²

Oczywiście wśród ofiar ironii i ciętego języka Mylesa byli nie tylko parweniuse o wygórowanych aspiracjach intelektualnych. Nie szczędził bezmyślnych nacjonalistów, którzy w czasie II wojny światowej buńczucznie deklarowali lojalność wobec hitlerowców i wrogość wobec aliantów tylko dlatego, że w szeregach tych ostatnich walczyła znienawidzona Anglia; bezwzględnych przeciwników języka angielskiego opowiadających się za powszechnym używaniem irlandzkiego bez względu na obiektywne trudności towarzyszące wprowadzaniu języka, którym posługiwała się wówczas zaledwie garstka mieszkańców Zielonej Wyspy; niedouczonej polityków przekonanych o konieczności zerwania z wszelkimi obcymi wzorcami społeczno-ekonomicznymi i odizolowania Irlandii od świata zewnętrznego. I choć kwestie języka i kultury przewijały się w felietonach O’Nolana alias Mylesa nader często, to brakowało w nich spójnego i konsekwent-

nego stanowiska, które można by potraktować jako poważny głos w dyskusji nad przyszłością irlandzkiego społeczeństwa.

Za taki poważny głos uznać należy dopiero jego mini-powieść *Ubogie usta*, która, choć przede wszystkim bezlitośnie satyryczna, stanowi istotny przyczynek do postkolonialnych dziejów budowania wizerunku narodu irlandzkiego. Jej tytuł, *An Béal Bocht*, odwołuje się do żebraczej strategii polegającej na obnoszeniu się z własnym ubóstwem w celu zyskania współczucia i pomocy materialnej.¹³ Akcja powieści osadzona jest w regionie znanym z przysłowiowej wręcz biedy. Gaeltacht to jednocześnie niemal magiczna kraina na zachodzie wyspy, gdzie wciąż żywy jest język irlandzki, a właściwie, ściślej rzecz ujmując, język gaelicki. Choć w wielu potocznych kontekstach przymiotników „irlandzki” i „gaelicki” można używać jako synonimów, to istnieje między nimi istotna różnica znaczeniowa.¹⁴ Mianowicie angielskie słowo „Gaelic” odnosi się również do języka i kultury szkockiej, podkreślając wspólne obu narodom celtyckie korzenie i tradycję. Tak więc Gaelowie to znacznie więcej niż tylko Irlandczycy – to członkowie znacznie starszej i większej wspólnoty plemiennej, z której wyodrębnił się na przestrzeni dziejów współczesny naród zamieszkujący Zieloną Wyspę. Jak powszechnie uważano w pierwszej połowie dwudziestego wieku, rdzenni Gaelowie zamieszkiwali już tylko jej zachodnie obrzeża; pozostała część ludności stopniowo uległa obcym wpływom – przede wszystkim procesowi kulturowej, językowej a nawet genetycznej anglicyzacji. W literaturze irlandzkiej tamtego okresu zarysowała się silna opozycja pomiędzy kosmopolitycznym, zeuropeizowanym i wykorzenionym wschodem Irlandii, a zachodnimi krańcami wyspy, nieskażonymi przez kontakt z innymi kulturami i tradycjami, zachowującymi, niejednokrotnie za cenę postępu cywilizacyjnego, swoją tożsamość językową i obyczajową. Z taką właśnie uproszczoną i strywializowaną opozycją, która prowadziła najczęściej do idealizacji wizerunku mieszkańców Gaeltachtu, podejmuje polemikę powieść O’Nolana.

Po pobieżnej lekturze *Ubogich ust* można dojść do wniosku, że O’Nolan zwyczajnie drwi sobie z mieszkańców zachodnich rubieży Irlandii. Jednak już sama kwestia autorstwa powieści wskazuje, jak łatwo o zbyt pochopne opinie i sądy w tej sytuacji. O’Nolan wydał swoją książkę w 1941 r. pod pseudonimem Myles na gCopaleen, podkreślając w ten sposób ciągłość swojej wypowiedzi literackiej z tonem i myślą przewodnią felietonów drukowanych w „The Irish Times”. Dopiero późniejsze wydania jedynej napisanej po irlandzku powieści pisarza opatrzone zostały innym często przez niego używanym pseudonimem – Flann O’Brien. Można tutaj doszukać się celowego zamysłu wydawców, chcących skojarzyć mniej popularny tytuł z pozostałymi, znacznie bardziej znanymi pozycjami – szczególnie *At Swim-Two-Brids* – które O’Nolan tak właśnie podpisywał. Niemniej trzeba zwrócić uwagę na dystans, jaki buduje użycie takiego czy innego pseudonimu, między rzeczywistym autorem a jego twórczością literacką. Taki dystans jest również wyraźnie widoczny w warstwie parodystycznej powieści. Bezpośrednim punktem odniesienia dla skądinąd fikcyjnego miejsca akcji (Corkadoragha) jest

bowiem nie tyle rzeczywisty Gaeltacht, co raczej rozpowszechniony we wcześniejszej literaturze i masowej wyobraźni wizerunek takiego regionu i jego mieszkańców. Olbrzymią rolę odegrały tutaj autobiograficzne utwory mieszkańców wysp Blasket, utwory, które są obiektem parodystycznych zabiegów na wielu stronach *Ubogich ust*. O’Nolan naśladuje patos i stylistykę charakteryzującą twórczość takich pisarzy, jak Tomás Ó Criomhthain, Muiris Ó Súleabháin, Peig Sayers, czy Séamas Ó Grianna.¹⁵ Ale jego powieść to także odpowiedź na typową w początkach dwudziestego wieku literacką idealizację doli chłopa i jego języka. Przyczyniły się do niej tak znamienite postaci w historii literatury i kultury irlandzkiej jak Lady Augusta Gregory czy William Butler Yeats. To spod ich pióra wyszły teksty, w których mieszkańcy Gaeltachtu, nie zważając na swoje skrajne ubóstwo i brak wykształcenia, władają piękną poetycką mową i zdumiewają wieloma szlachetnymi przymiotami ducha, stawianymi za wzór dla wszystkich innych Irlandczyków. Pod tym względem *Ubogie usta*, pomimo potężnego ładunku satyry i groteski, to powieść znacznie bliższa realiom zachodnioirlandzkiej codzienności.

Język rdzennych mieszkańców Gaeltacht to temat potraktowany przez O’Nolana ze szczególną uwagą. I nie chodzi tutaj tylko o to, *jak* mówią prości Gaelowie, ale może przede wszystkim o kontrast pomiędzy ich naturalnym stosunkiem do swego narzecza i bałwochwalczą wręcz fascynacją, z jaką odnoszą się do języka gaelickiego badacze i entuzjaści folkloru. Trzeci rozdział powieści podejmuje kwestię języka w sposób, który nie przynosi chluby ani urzędnikom brytyjskim, ani naukowcom zgłębiającym tajniki coraz rzadziej używanej w Irlandii mowy. Najpierw narrator, Bonaparte O’Coonassa, chłopiec-pólsierota żyjący wraz z matką i dziadkiem w skrajnej nędzy, opowiada, jak to cała rodzina przechytryła inspektora, który odwiedzał wiejskie chałupy, by sprawdzić, czy chłopcy zachęcają swoje dzieci do nauki angielskiego. Za każdą latorośl porozumiewającą się w języku Szekspira rodzina miała otrzymać po dwa funty, niebagatelną sumę jak na owe czasy. W domu narratora zapanowała konsternacja: jedno jedyne dziecko spędziło w angielskiej szkole zaledwie kilka godzin, po czym zniechęcone surowością nauczyciela i koniecznością posługiwania się obcym i nieznanym językiem, postanowiło zrezygnować z dalszej edukacji. Chłopiec nauczył się jedynie przedstawiać po angielsku, a właściwie w odpowiedzi na pytanie „Jak się nazywasz?” podawać z angielska brzmiące imię i nazwisko „Jams O’Donnell”. Dlatego też dziadek bohatera postanowił uciec się do fortelu, w którym istotną rolę odegrali pozostali domownicy jednoizbowego gospodarstwa, a były nimi świnie. Cała rodzina poprzebierała je we własne łachmany, licząc na to, że stary i zniedołężniały inspektor, zniechęcony potwornym smrodem i brudem, jaki panował w chałupie, stanie tylko w drzwiach i nie będzie zbyt uważnie przyglądał się mieszkańcom słabo oświetlonej izby. I rzeczywiście krótkowzroczny urzędnik łatwo uwierzył, że liczące dwanaście sztuk stadko warchlaków przyodzianych w chłopskie łachy to potomstwo rodzaju ludzkiego¹⁶ i że wszystkie władają mową brytyjskiego kolonizatora. Wszak najbliższej stojący chłopiec, zagadnięty po angielsku, przedstawił się bez zajknięcia, co dobrze świadczyło o poziomie

wykształcenia pozostałych domowników. W ten sposób cała rodzina wzbogaciła się o 26 funtów. Radość z tego faktu przesłoniło im tylko zaginięcie jednej ze świń – ubrana „po ludzku”, zniknęła bez śladu jeszcze tego samego wieczora.

Odnalazła się następnego dnia. Wróciła do domu i wywołała entuzjazm wśród jego dwunożnych mieszkańców zawartością swoich kieszeni. Oto znaleźli w nich fajkę, porcję tytoniu, szylinga i pełną piersiówkę. Wkrótce też mieli poznać wyjaśnienie tych nadprzyrodzonych zjawisk. We wsi przebywał wówczas naukowiec-lingwista pragnący zarejestrować przy pomocy gramofonu naturalne brzmienie języka gaelickiego. Ponieważ jednak mieszkańcy nie kwapili się do udzielania potocznych wypowiedzi do tajemniczej tuby, badacz folkloru uciekał się do przekupstwa oraz upijania gospodarzy, których odwiedzał wieczorami. Skutek najczęściej był taki, że ci ostatni, pod wpływem alkoholu, popadali w nieme otępienie, a naukowiec musiał sam pocieszać się resztkami trunku. Jakaż była jego radość, gdy pewnego dnia, po zapadnięciu zmroku do słabo oświetlonej chałupy, w której akurat przebywał, wtoczył się, a właściwie wczołgał na czworaka, najwyraźniej mocno już upojony tubylec i, zwaliwszy się w ciemnym kącie, począł wydobywać z siebie gardłowe dźwięki. Naukowiec pochwycił swoje urządzenie, przystawił je bliżej i choć nie widział zbyt dobrze autora nagrywanej wypowiedzi, rozsmakowywał się w brzmieniu prawdziwie gaelickiej mowy. A był to najprawdziwszy z prawdziwych i najrdzenniejszy z rdzennych języków Gaeltachtu, jak skonkludował badacz, ponieważ nie mógł zrozumieć ani jednego słowa. Z wdzięczności dla osobnika, który dostarczył mu tak wspaniałego materiału językowego, obdarował go wszystkim, co miał pod ręką – szczyptą tytoniu, własną fajką, zapasem gorzałki i drobnymi pieniędzmi – po czym pośpiesznie wyjechał do Europy, by podzielić się wynikami swoich badań z innymi naukowcami. Nagrana próbka języka gaelickiego zrobiła furorę wśród specjalistów w Berlinie, uznano ją za bezcenny wkład w zgłębianie kultury celtyckiej, a naszemu badaczowi przyznano tytuł naukowy w uznaniu jego zasług dla lepszego poznania korzeni gaelickiej mowy. Nie trzeba chyba dodawać, że gadatliwym tubylcem była zbląkana świnia przyrodziana w ludzkie szaty.

Warto zauważyć, że O’Nolan, kpiąc sobie z urzędników i „gaelofilów”, mimo wszystko oszczędza gaelickiego chłopca. Ten jawi się raczej jako prostoliniorny i naiwny obserwator, potrafiący zdobyć się nawet na pewną dozę pobłażliwości wobec znacznie bardziej wykształconych i bywałych w wielkim świecie przybyszy. Ostrze satyry O’Nolana wymierzone jest przede wszystkim w tych, którzy są odpowiedzialni za kształtowanie takiego a nie innego obrazu typowego mieszkańca Gaeltachtu. Widać to wyraźnie w rozdziale, który zderza mentalność rdzennych Gaelów z przybyłymi z Dublina członkami Ligi Gaelickiej, organizacji założonej w 1893 r. przez Douglasa Hyde’a w celu krzewienia kultury i języka irlandzkich przodków. Miejscy entuzjaści folkloru przybywają na zachód Irlandii z okazji festiwalu gaelickiego – irlandzkiej *feis* (w języku irlandzkim jest to rzeczownik rodzaju żeńskiego) – który zorganizował dziadek narratora powieści, by podreperować sytuację materialną rodziny. Od początku daje on do zrozumienia,

że interesuje go przede wszystkim wymiar finansowy całego przedsięwzięcia. Natomiast członkowie Ligi Gaelickiej to prawdziwi entuzjaści, których uwielbienie dla wszystkiego, co rdzennie irlandzkie, graniczy ze ślepym szowinizmem. Porzuciwszy swoje imiona i nazwiska (niejednokrotnie zdradzające angielskie pochodzenie), przybierają wyszukane przydomki gaelickie, dbając jedynie o autentyzm brzmienia swoich nowych przezwisk. I tak przewodniczący całej organizacji, postawny jegomość o imponującej tuszy, to Gaelicka Stokrotka, zaś wśród pozostałych uczestników festiwalu nie brak takich imion, jak Kołowrotek Marysi, Skiba Gleby, Białe Jajo, czy Stóg Jęczmienia.¹⁷ Jak widać, ważne, by zakres znaczeniowy przybranych przydomków przywodził na myśl rolnicze obszary zamieszkałe z dawien dawna przez prawdziwych Gaelów. Potrzeba podkreślenia autentyzmu i nieskażonego obcymi domieszkami gaelickiego pochodzenia stanowi *idée fixe* członków Ligi. Świadczy o tym wyraźnie treść przemówienia, którym przewodniczący Gaelicka Stokrotka otwiera całą *feis*:

Gaelowie! – rzekł. – Raduje się me gaelickie serce, że mogę tu być i przemawiać do Was po gaelicku z okazji tego gaelickiego festiwalu w sercu Gaeltachtu. Pozwolę sobie dodać, że sam jestem Gaelem. Jestem Gaelem od czubka głowy po piętę – z tyłu i z przodu, u góry i u dołu. Wy również jesteście Gaelami. Wszyscy jesteśmy gaelickimi Gaelami o gaelickich korzeniach. Każdy Gael pozostanie już na zawsze Gaelem. Ja sam od chwili przyjścia na świat nie wypowiedziałem ani słowa w innym języku niż gaelicki, a każde zdanie, które wymówiłem, dotyczyło tego, co gaelickie. Skoro jesteśmy prawdziwymi Gaelami, musimy bez przerwy omawiać kwestię gaelickiego odrodzenia i kwestię gaelickości w ogóle. Nie ma sensu mówienie po gaelicku, jeżeli nie używamy naszego języka do poruszania gaelickich spraw. Ten, kto mówi po gaelicku, a nie koncentruje się na kwestii języka gaelickiego, nie jest w głębi serca prawdziwym Gaelem, a jego postawa nie służy gaelickości, bo taki człowiek tylko szydzi z gaelickiego i obraża Gaelów. Nie ma na tym świecie nic piękniejszego niż nasz gaelicki język i prawdziwszego niż prawdziwy gaelicki Gael, który mówi prawdziwie po gaelicku o prawdziwym gaelickim języku. Niniejszym ogłaszam ten festiwal za otwarty! Gaelowie górą! Niech żyje język gaelicki!¹⁸

O’Nolan podkreśla efekt komiczny takiego przemówienia poprzez ukazanie rzeczywistej postawy rdzennych – a więc prawdziwych – mieszkańców Gaeltachtu, którzy często, tak jak dziadek narratora, zachowują ostrożny dystans w stosunku do irlandzkich narodowców, a czasami wręcz reprezentują poglądy rojalistyczne,¹⁹ nie licujące z patriotyzmem spod znaku Ligi Gaelickiej. Przejawem braku przywiązania do tradycji są również imiona, które zachodnioirlandzcy Gaelowie nadają swoim dzieciom. Mamy wśród nich tak obco brzmiące miana jak Bonaparte, Ferdinand, Leonard, czy Sitric. W ich świecie nie ma tak naprawdę miejsca na przypisywane im przez wielkowiejskich gloryfikatorów ideały: obce im są uczciwość (dziadek narratora jest złodziejem i naciągaczem), solidarność, a nawet przywiązanie do ziemi ojców (Sitric woli mieszkać w podwodnej jaskini,

gdzie ma pod dostatkiem jedzenia, niż w swojej ubogiej lepiance, w której przy-
mierał głodem).

Ubogie usta to zatem powieść-szpilka, przebijająca nadmuchany do granic absurdu balon hipokryzji towarzyszącej obiegowemu wizerunkowi mieszkańca Gaeltachtu. Zarówno w swoich felietonach prasowych, jak i tutaj O’Nolan jest zmuszony przyjąć postawę, z którą do końca się nie identyfikuje. Krytyka określonych postaw społecznych nie wynika wcale z braku szacunku dla tradycji przodków, a jest jedynie narzędziem służącym obnażeniu pewnych popularnych a szkodliwych stereotypów. Pod pozorami surowej diagnozy społeczeństwa irlandzkiego pierwszej połowy dwudziestego wieku kryje się tak naprawdę troska pisarza o rozwój intelektualny mieszkańców Zielonej Wyspy. O’Nolan widzi wyraźnie, że apologia naiwnie rozumianej irlandzkości nie służy wyrwaniu kraju z postkolonialnego marazmu i obskurantyzmu. Dlatego decyduje się przywdziać maskę ironicznego kontestatora, narażając się tym samym na oskarżenie o brak ortodoksyjnego patriotyzmu i krytyczny stosunek do własnego narodu. W złożonej sytuacji kulturowej i politycznej, w jakiej Irlandia znalazła się po odzyskaniu niepodległości, była to postawa niełatwa i z pewnością wymagająca głębokiego zaangażowania w budowanie pozytywnego wizerunku własnej ojczyzny.

Przypisy:

¹ Zob. James Joyce, *A Portrait of the Artist as a Young Man*, w: *The Essential James Joyce*, London, Paladin 1991, s. 386.

² Flann O’Brien naprawdę nazywał się Brian O’Nolan. Z kolei O’Nolan to angielska wersja irlandzkiego nazwiska Ó Nualláin, którym pisarz posługiwał się w wielu sytuacjach oficjalnych. Swoje teksty podpisywał zwykle jednym z kilku pseudonimów: w Polsce najlepiej znany jest chyba właśnie jako Flann O’Brien, autor dwóch przetłumaczonych na nasz język powieści, *At Swim-Two-Birds* (*Sweeney wśród drzew*) i *The Third Policeman* (*Trzeci policjant*); felietony prasowe pisywał jako Myles na gCopaleen, a w dublińskich kręgach literackich znany był także jako brat Barnaba, *alter ego* pisarza często wykorzystywane w tekstach satyrycznych.

³ Używam tutaj tego pojęcia dla określenia zarówno wewnętrznego napięcia towarzyszącego nakładaniu się i ścieraniu dwóch kultur, ale także rywalizacji o uznanie i społeczną akceptację.

⁴ Zob. Anthony Cronin, *No Laughing Matter: The Life and Times of Flann O’Brien*, London, Grafton Books 1989, s. 113–114.

⁵ Zob. Cronin, *No Laughing Matter*, s. 71–72.

⁶ Zob. Cronin, *No Laughing Matter*, s. 120.

⁷ To jeden z poważniejszych zarzutów pod adresem wykształconego i obytego Irlandczyka, jakie znajdują ozdzwierciedlenie w twórczości Jamesa Joyce’a. W *The Dead*, najobszerniejszym opowiadaniu z tomu *Dubliners*, panna Ivors, zagorzała nacjonalistka, zarzuca głównemu bohaterowi takie właśnie kosmopolityczne skłonności, które rzekomo nie licują z prawdziwie patriotyczną postawą.

⁸ Zob. <http://www.ireland.com/special/times2000/century/fintan/b1.htm>.

⁹ Zob. Cronin, *No Laughing Matter*, s. 112.

¹⁰ Zob. Flann O'Brien, (Myles na Gopaleen), *The Best of Myles*, Normal, Illinois, Dalkey Archive Press 1999, s. 282.

¹¹ Zob. Declan Kiberd, *Inventing Ireland: The Literature of the Modern Nation*, London, Vintage 1996, s. 499. Również Hugh Kenner dostrzega niebezpieczny, megalomański rys w postawie Mylesa, który otwarcie głosił w swoich felietonach, że jest jedynym rozsądnym i trzeźwo myślącym człowiekiem w całej Irlandii – zob. Hugh Kenner, *A Colder Eye: The Modern Irish Writers*, Baltimore, The Johns Hopkins University Press 1989, s. 258.

¹² O'Brien, *The Best of Myles*, s. 20–21. Zarówno ten jak i wszystkie inne cytowane fragmenty zostały przetłumaczone na potrzeby tego eseju przez jego autora.

¹³ Zob. Kiberd, *Inventing Ireland*, s. 502–503.

¹⁴ W językoznawstwie mówi się w takim wypadku o relacji hyponimicznej, a nie synonimicznej.

¹⁵ Zob. Cronin, *No Laughing Matter*, s. 126. Zwięzłe omówienie twórczości wymienionych tutaj pisarzy znajdzie czytelnik w pracy Declana Kiberda pt. *Irish Classics*, London, Granta Books 2000, s. 520–542.

¹⁶ W Anglii epoki wiktoriańskiej powszechne było przekonanie, oparte na teoriach Darwina, że rdzenni mieszkańcy Irlandii reprezentują wcześniejszy etap rozwoju gatunku ludzkiego i dlatego bliżej im do natury zwierzęcej niż do *homo sapiens*. W popularnej ikonografii prasowej byli zazwyczaj przedstawiani w sposób sugerujący nader bliskie pokrewieństwo z małpami człekokształtymi – zob. <http://65.107.211.206/victorian/history/race/Racism.html>

¹⁷ Zob. Flann O'Brien, *The Poor Mouth*, Normal, Illinois, Dalkey Archive Press 1996, s. 52–53.

¹⁸ O'Brien, *The Poor Mouth*, s. 54–55.

¹⁹ W odpowiedzi na podniosły ton przemówień oficjeli z Ligi Gaelickiej, dziadek, najwyraźniej słabo zorientowany w polityce, wykrzykuje z entuzjazmem: „No liberty without royalty!” (Nie ma wolności bez monarchii!), a narrator dodaje, że staruszek zawsze darzył wielkim szacunkiem króla Anglii – zob. O'Brien, *The Poor Mouth*, s. 55.

